

♪[PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

LEKTOR: „Audycje Kulturalne” – w dobrym tonie

♪[Fragment utworu]

MARLA MARWEL: Cześć. Marla Marwel z zespołu The Real Gone Tones.

GREGORY PICK: I obok Gregory Pick, również z zespołu The Real Gone Tones.

♪[Fragment utworu]

**DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: Zastanawiałam się czy wy byście się odnaleźli w Stanach Zjednoczonych w latach pięćdziesiątych?**

MARLA MARWEL: Na pewno miałabym dużo większe utrudnienia niż w tej chwili, żeby jeździć sobie z czwórką facetów po świecie [ŚMIECH] pewnie mąż zakładałby mi pas cnoty i puszczał mnie za biletami jakimiś w trasę, pod zgodą sędziego teściowej i teścia, więc gdybym była facetem, kto wie, gdybym była babką nie mogłabym sobie tak wesoło śpiewać w zespole, chociaż były różne bohaterkie dziewczyny, więzy country, młode dziewczyny, które śpiewały rock&rolla zanim wyszły za mąż, ale były to pojedyncze przypadki, takie jak Janis Martin, Charline Arthur, kilka dziewczyn dosłownie.

GREGORY PICK: Jak Marysia mówiła, facetom było łatwiej. Ale czy ja bym się odnalazł? Na pewno bryki były fajne. Muza, cała reszta? Nie wiem. Trzeba by żyć, żeby zobaczyć. Obecne czasy mi się podobają, więc raczej bym nie wracał.

**DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: Bo muzyka muzyką, ale tak naprawdę przecież to były czasy jeszcze segregacji rasowej i właśnie walk kobiet o swoje prawa. Wcale nie było tak wesoło, o czym łatwo zapomnieć gdzieś tam wsiąkając w tę kulturę rock&rollową, która w niektórych przypadkach przybiera nawet formę takiego skansenu. Wy jeździliście po świecie. Podobno w Niemczech ta rock&rollowa scena jest bardzo popularna i to czasami właśnie jak taki skansen wygląda.**

MARLA MARWEL: Tak. My to nawet tak nazywamy, skansenem, to jest takie nasze małe powiedzonko. Pewnie są takie elementy, jakby styl, który przeniknął do języka popkultury i mało kto się zastanawia w jakich warunkach powstawał. Rock&roll od początku był taką muzyką, która po pierwsze wychodziła z kultury czarnej. Zajmowali się nim ludzie określani bardzo miłym przydomkiem juvenile delinquents, czyli młodociani delikwenci powiedzmy sobie. Często nawet jak ktoś słuchał rock&rolla to myślał „o on tu na pewno ma jakieś przestępcze zamiary” i tak dalej. I szczerze mówiąc nawet mojej babci do dzisiaj tak się trochę kojarzy, że jak ktoś ma tautażę i słucha głośnego rock&rolla to nie warto z nim zadzierać, więc przed babcią noszę warkocze i sukienki w kwiaty i udaję, że wcale mnie to nie zajmuje [ŚMIECH] Natomiast babcia sama jest fanką Johnnego Casha i porozumiewam się z nią za pomocą country po prostu i tak przemycam rock&rolla. Natomiast Elvis i Ricky Nelson i kilka takich męskich, młodych gwiazd sprawiło, że ten rock&roll powoli, powoli przenikał do białych mieszczańskich domów i małżeństw po czterdziestce. I powoli, powoli, powoli stał się czymś akceptowalnym szerzej.

**DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: To był cały taki przemysł w pewnym momencie dostarczania młodzieży tych wypolerowanych idoli, ale to nie jest ta część rock&rolla, która jest obecna w twórczości Derli Cantons. Wy jesteście tą częścią bardziej korzenną.**

GREGORY PICK: Tak. My bardzo lubujemy się w takim garażowym rockabilly można by powiedzieć. A to się bierze stąd, że w tamtych latach bardzo dużo zespołów nagrywało pojedyncze płytki, single, ponieważ był wtedy bum, coraz więcej było odtwarzaczy w domach. Ludzie zaczęli słuchać tej muzyki w domu, także wszystkie

wytwórnice muzyczne wtedy rozkwitły. Wszyscy wyczuili w tym biznes. Pojawiały się duże zespoły wówczas nagrywali właśnie po jednym, dwa utwory i znikali zupełnie z mapy muzycznej. Czasem można znaleźć w tym takie perełki, które właśnie nas najbardziej kręcą, które nie są mainstreamem, są ciężko dostępne, ale nawet na youtube jak się pogrzebie to można znaleźć bardzo fajne rzeczy.

**DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: Wy się zajmujecie takim grzebaniem i wyciąganiem na światło dzienne tych zapomnianych artystów?**

MARLA MARWEL: Tak. To jest jakby coś, co nas pasjonuje też i prywatnie i udaje nam się to przenieść na zespół. Mi się wydaje, że można za pomocą jednej piosenki tak naprawdę w dwóch wykonaniach dobrze sobie zilustrować samemu czym było rockabilly dla samej muzyki amerykańskiej. Jest taki numer Honey Hush, który nagrał najpierw w wersji najpierw Big Joe Turner i to jest super, fajny, bujający, nawet seksi numer, ale taki taneczny i spokojnie przejdzie w dosyć eleganckim klubie. A potem ten sam numer nagrał Jonny Burnett, który zrobił z tego punk rock na wiele, wiele lat zanim w ogóle punk rock się pojawił. Nagle kiedy on śpiewa tutaj Honey Hush, bo ja mam za sobą kij bejsbolowy na ramieniu, to ile w wykonaniu Big Joe Turnera to brzmi jak taki żarcik małżeński, dosyć brutalny, z którego na pewno nic nie wyjdzie bo zaraz zjedzą szarlotkę i będą tańczyć w salonie, o tyle ile słuchamy tego w wykonaniu wczesnego, takiego jak Grzesiu powiedział garażowego rockabilly, to wierzymy, że Jonny Burnett był bokserem, po prostu zdejmie ten kij bejsbolowy z pleców i rozgromi wszystkich kolegów, a kto wie, może i nawet swoją dziewczynę, jak się nie powstrzyma w porę. Także ten jeden numer pokazuje czym się różni jakby rockabilly od takiego grania lekkostrawnego.

**DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: I wam się zdarza czasami przypomnieć tych artystów również dosłownie grając covery na koncertach i dopowiadając trochę historii tej muzyki.**

MARLA MARWEL: Tak. Znaczą staramy się grać jak najwięcej swoich numerów, jakby pokazać, że ta muza żyje dalej i to nie musi być tylko symbol lat pięćdziesiątych, który my tutaj ładnie stworzymy w stu procentach pod lupą i przerysujemy go w najdrobniejszych szczegółach, tylko dajmy też coś od siebie. Oczywiście pilnując,

żeby brzmiało to stylowo, bo jak każdą prostą muzykę bardzo łatwo jest przerobić na kicz. Wystarczy, że nie upilnuje się brzmienia, podkreśli się za bardzo jakąś częstotliwość czy zrobi się z tego bardziej popową konstrukcją i już to brzmi kiczowato, ale staramy się pokazać, że ta muza żyje. Gramy też rzeczywiście covery naszych ulubionych artystów. Trochę dla własnej przyjemności, a trochę żeby pokazać skąd to się bierze i czemu tak, a nie inaczej i że jest coś więcej niż tylko Elvis.

GREGORY PICK: Apropo brzmienia i śpiewania. Czasem trzeba śpiewać tak, jakby się nie umiało śpiewać, bo tak ta muzyka brzmi z tamtych lat i tu taka zabawna historia. Kiedyś na koncercie, bo ostatni numer graliśmy i cover Crazy Baby i Marysia tam śpiewała w dość unikatowy sposób bym powiedział i znajomi po koncercie jej powiedzieli, że koncert super, ale ostatni numer to chyba ci już brakło sił, bo tak śpiewałaś dziwnie. I to jest właśnie ten duch tej muzyki, że troszkę trzeba słuchać jej i być w klimacie, żeby zrozumieć, że pewne rzeczy muszą tak brzmieć, że są robione jakby specjalnie, że umiejętności może pozwalają robić zupełnie co innego. To my świadomie często rezygnujemy z bycia takim wygładzonym, idealnym zespołem na właśnie dodanie tej szczypty garażu.

**DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: Jeżeli chodzi o miejsce, w którym mieszkacie. Miejsce w którym się mieszka często określa w jakiś sposób artystów. To może być bardzo widoczne, może być mniej widoczne. Czy wy w ogóle myślicie jakby o tym, że miejsce zamieszkania, miejsce pochodzenia ma wpływ jakiś na waszą muzykę? Bo gracie bardzo korzennie. To jest to brzmienie, które właśnie w Stanach było w latach pięćdziesiątych, ale czy w jakiś sposób, gdzieś tam to pochodzenie z Polski się odbija może w jakiejś bardzo głębokiej warstwie tej muzyki?**

MARLA MARWEL: Mi się wydaje, że dzisiaj, kiedy każdy ma internet w domu to nie ma wymówek, że coś zdążyłem poznać, czegoś nie zdążyłem poznać. Każdy ma taki sam dostęp do archiwów muzycznych. Wystarczy, że odpali komputer. Może kolekcjoner winyli ma trudniej oczywiście, bo wysyłka z odległych krajów, gdzie tych kolekcjonerów jest dużo do nas, takiego winylu sporo kosztuje. Myśmy trochę tą scenę budowali razem może z jednym, dwoma, trzema zespołami znajomych. Nie było tak, że po prostu chodziliśmy sami na koncerty rockabilly i w ten sposób poznawaliśmy to.

Tylko jakby każdy sam do tego doszedł, a potem próbował stworzyć sobie środowisko w którym można by grać, można by słuchać takiej muzyki, więc tym myślę, że odróżniamy się my od znajomych z zagranicy, którzy też taką muzykę robią, słuchają, bo np. scena w Niemczech czy we Francji jest ogromna. U nas praktycznie jej nie ma. To jest, tak jak mówiłam wcześniej, kilkunastu znajomych z którymi wymieniamy się informacjami od lat i których niespecjalnie przybywa. Moda owszem jest, ale bardziej w warstwie wizualnej, bardziej wśród młodych tam barberów czy tatuażystów. Niekoniecznie to się wiąże z takim dogłębnym wierceniem tego, co leży u podstaw tej muzyki.

GREGORY PICK: To jest ciekawe, bo na dobrą sprawę Europa stoi mocniej, jeżeli chodzi o ten gatunek i zespoły, które się pojawiają niż Stany. Mi się wydaje, że to jest z tego względu, że my jakby nie doświadczyliśmy za bardzo tej kultury, która była w Stanach. Dla nas troszkę to są wyidealizowane lata i okres i myślę, że dlatego właśnie, czy w Niemczech, czy we Francji, tak samo jak ten taniec Lindy Hop on z powrotem narodził się w Szwecji pod koniec chyba lata osiemdziesiątych czy na początku lat dziewięćdziesiątych. W Stanach był praktycznie zapomniany, nikt tego nie tańczył i dopiero w Europie narodził się ponownie i wystrzelił do góry. Myślę, że podobnie jest tutaj z muzyką. Graliśmy z takim zespołem, to był chyba Daniel Payne, dobrze pamiętam? Tak, to był zespół ze Stanów i chłopaki z tego zespołu powiedzieli nam, że mamy lepsze brzmienie rockabilly niż nie jeden zespół ze Stanów, co nam troszkę dało do myślenia, że albo tam tak słabo grają, albo my jesteśmy dobrzy.

**DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: Podobno w Japonii jest to muzyka też popularna, ale Japończycy słyną z tego, że jak już jakiś klimat się im spodoba to po prostu na dwieście procent się w nim realizują.**

MARLA MARWEL: W Japonii jest w ogóle wielka kultura fanowska. Tam jest tak, że kiedy raz komuś się coś spodoba to jest jakby fajnie widziane, popularne, że ktoś się stara zdobyć jak najwięcej informacji na ten temat. Ciekawostka z tym się wiąże taka, że nasza pierwsza płyta, którą nagraliśmy trochę w formie demo, wydaliśmy ją własnym sumptem, pozostałe już ukazały się w El Toro records. Nasza pierwsza płyta

jest dostępna w tej chwili tylko w jednym miejscu na świecie. Nie mamy jej już nawet w domach. Można ją kupić tylko i wyłącznie w Japonii.

**DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: Propozycje koncertowe nie przychodziły stamtąd?**

MARLA MARWEL: Jest to jednak kawał drogi, żeby przetransportować pięć osób aczkolwiek ja kiedyś uczyłam się japońskiego i jakieś takie szczątkowo-korespondenckie rozmowy jestem w stanie przeprowadzić i muszę przyznać, że pisze do mnie sporo osób z Japonii, właśnie fanów rockabilly z pytaniem tak o nowy materiał, czy dyskutując ze mną o obecnej płycie. Dla mnie to jest ekstra, że niespecjalnie się o to starając byliśmy w stanie dotrzeć tak daleko

♪[Fragment utworu]

**DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: I wracając do Derli Cantons i tych płyt, o których wspomniałaś, płyty nagrywane dla El Toro records, czyli wytwórni hiszpańskiej, wiązały się z waszą wycieczką do Niemiec. Do studiów Lightning records i Black Shark records. To są studia wyposażone w sprzęty vintage i vintagowe podejście pracowników do nagrywania. Jak się pracuje nad płytą, żeby uzyskać takie właśnie staro szkolne brzmienie?**

GREGORY PICK: Samo nagrywanie jest super. Najcięższe jest przygotowanie płyty. Przez trzy miesiące katowaliśmy i zażynaliśmy nasz materiał, żeby każdy numer nauczyć się po prostu na pamięć. Bez patrzenia, żeby nic nas podczas tej sesji nie zaskoczyło i nagrywaniem a setkę jest uważam bardzo takie satysfakcjonujące, kiedy to wszystko działa i wychodzi i słyszy się efekt. Tak naprawdę można powiedzieć, że to jest jakby nagranie na żywo, ponieważ wszyscy gramy w tym samym pomieszczeniu i nie ma opcji na błędy. Jeśli jest błąd, niestety przerywamy utwór i następny tejk i następny, następny. Recordem była gra do siedmiu tejków aczkolwiek na pierwszej płycie chyba ze cztery numery padły za pierwszym podejściem, więc to jest fajne i wtedy jakby się wzajemnie nakręcamy, że okej, to poszło za pierwszym razem, to

następny i następny. Jest frajda. Jest ciężko oczywiście. Taka sesja potrafi trwać do ośmiu – dziewięciu godzin, więc jest to męczące, ale radość jest wielka.

MARLA MARWEL: Radość jest wielka, kiedy już się wchodzi do takiego studia i po prostu jak dzieciaki wpuszczono do sklepu z cukierkami patrzyliśmy i na te taśmowe recordery. Na stare mikrofony, nawet same stojaki pod mikrofon już stają się ekscytujące, kiedy widzi się, że one naprawdę są odrapane i wgryzione biegiem czasu konkretnie. Bardzo mobilizująca działają ludzie, którzy się tym tam zajmują na co dzień, którzy mają tę starodawną, alchemiczną już niemal wiedzę w małym palcu i pomagają nam się dobrze ustawić. Jest to też, tak jak mówił Grzesiu, duży wysiłek, bo przez kilka miesięcy trenujemy te utwory, żeby nie było wpadki. Czas w takim studiu Niemieckim jest dla nas bardzo drogi, więc dwa dni to był max, na który mogliśmy sobie pozwolić, żeby wykupić czas studyjny, a do nagrania był materiał na całą płytę. Kilkanaście numerów, więc trzeba było się sprężyć, także bardzo wyczerpujący, bo trzeba się pilnować w każdej chwili, ale też satysfakcja jest większa, kiedy ma się świadomość, że to nie jest przeklejony materiał, że to nie jest w ten sposób skonstruowane, że a w pierwszym teyku wyszła mi dobrze ta zwrotka, przy w piątym, druga zwrotka najlepiej w szesnastym i z tego poklejone to jest tak, że mój głos brzmi całkiem niezłe. Oczywiście przy wybieraniu tejków, które wejdą na płytę wiąże się to z kompromisami np. komuś bardziej się podoba to ujęcie, komuś inne. Wspólnie, co też wymagało burzy mózgow niekiedy, wybiera się jeden tejk, który wejdzie na płytę. Dla mnie, jako wokalistki, to jest bardzo wyzwalające z tego względu, że studiowałam śpiew operowy, gdzie każdy dźwięk był emitowany przez moje gardło miał po prostu być idealny, a tutaj nagle okazuje się, że to jest najmniej istotna sprawa czy dźwięk jest idealny, że liczy się dużo bardziej ekspresja. Liczy się bardziej dużo to, czy wszystko jest w trybie, tajemie, czy to się buja po prostu i czy jest dobra energia i trochę tak jak dzisiaj jest popularny trend body positive, że nie musisz być idealna, możesz mieć cellulit, a i tak jesteś piękna, tak ja tutaj na poziomie wokalnym mam takie okej, to jest energy positive w rock&roll positive głos po prostu.

**DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: A jak to się stało, że trafiliście do El Toro?**

MARLA MARWEL: El Toro tak naprawdę odezwało się do nas, co było dla nas bardzo, bardzo miłym doświadczeniem, że nie musieliśmy katować mailami wydawców i wysyłać demo w próżnię, które nigdy nie wracają z powrotem, często też się nie dostaje odpowiedzi. Podejrzewam, że zawdzięczamy to znajomym, których poznaliśmy w trasach, którzy być może szepnęli o nas słówko tu i ówdzie. Natomiast głupio było się nie zgodzić. W zasadzie od razu podjęliśmy decyzję, że idziemy w to, nawet jeżeli nie wiąże się to ze specjalnym zarobkiem. Wszyscy wiedzą, że na wydawaniu płyt się dzisiaj nie zarabia. Chodziło o to, żeby po prostu dowiedziało się o nas jak najwięcej osób i żeby słowo o naszym zespole poszło w świat. Tak się stało. Dzięki temu, że wydaliśmy płytę w El Toro to właśnie kupili ją Japończycy, Niemcy, Francuzi i Hiszpanie. Kto wie, gdzie ona nie trafiła. Oczywiście jest to niszowa muzyka i niej jest to gigantyczna grupa odbiorców, ale sam fakt, że ktoś na drugim końcu świata ten krążek ma już jest dla nas nagrodą za wysiłek.

**DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: Też koncert promocyjny jest dobrą okazją, żeby sprawdzić siebie w oczach i uszach przede wszystkim innych ludzi. Ja nie widziałam jeszcze koncertu The Real Gone Tones z którego publiczność wychodziłaby niezadowolona.**

MARLA MARWEL: My zanim nagramy kawałki na płytę testujemy je na publiczności. Tu jest na odwrót w naszym przypadku. Czasami dochodzimy do wniosku, że pomimo tego, że coś nam podobało się na próbie, zagramy to na scenie i mówimy wtedy „tutaj w drugiej minucie ludzie już troszeczkę tupali nóżkami, chyba tu już było za nudno, coś musimy przearanżować”. To są najlepsi coache i najlepsze wskazówki to są właśnie ludzie pod sceną. Ja pomimo tego, że jestem ślepa jak kret, zawsze zakładam okulary, żeby to widzieć i jakby wchłonąć na bieżąco reakcje, których nie da się oszukać. Zawsze wiemy, które kawałki wzbudzają największy entuzjazm i przeważnie tak się nie zdarza, że powiedzmy w Polsce podoba się ten kawałek, a we Francji ludzie szaleją przy innym, a tamten ignorują. Nie. Zwykle jak coś działa, to działa w tym samym, uniwersalnym językiem, gdziekolwiek się to zagra.

**DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: A nawet jak się nie podoba, to pomidorami nikt nie rzucał.**



MARLA MARWEL: Nie, nie rzucał. Raz graliśmy w klubie, w którym były kraty, tak jak w Blues Brothers, ale to był jakby element stylowy wyłącznie i byłam bardzo zawiedziona, że nikt ani jajkiem, ani butelką w nas nie rzucił.

♪[Fragment utworu]

DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: **Materiał przygotowała Magdalena Miszewska.**

♪[PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

LEKTOR: „Audycje Kulturalne” – w dobrym tonie